



GŁOS LITERACKI



Rok I.

WARSZAWA, 1—15 stycznia 1928 r.

Nr. 1.

O nowe drogi!

Legendą życia jest jego ustawiczny proces — nieustanna ewolucja — ciągły i niepowstrzymany pęd ku formom, orbitom, prawom, — nakreślonym nowym duchem... teorią... ręką.

Proces przemiany skorupy zewnętrznej życia, jako kolektywu ducha i materji, odbywa się w ścisłej zależności od skali współbywania jednego czynnika z drugim. Charakter tej powłoki, stanowi natomiast jedyne i widoczne kryterjum, i jest surowym, najżywoźniejszym masztabem współżycia — odtwarzającym umysłowi różnice, zaistniałe pomiędzy najwyższą legislaturą teorii a istotnością oblicza danej epoki.

Zawodny genjusz ludzkiego intelektu, składający od wieków ofiary na ołtarzu „nieśmiertelnej” prawdy — ofiary z pomysłów złożone i idee — dostrzega w definitywach — smutnem przeznaczeniem losu kierowane — pozytyw, o treści zgola przez siebie nieoczekiwanej, — pokolenia o strukturze wręcz transcendentalnej i obcej — nie odpowiadające w żadnym stosunku — stopniu — przybliżeniu nieraz, ojcowskim doktrynom nietscheanizmu i ich syntemom reformacyjnym.

Cóż i któż zdoła wytłumaczyć niezależność tej depigmentacji oblicza każdej wyrastającej epoki?

Skąd ta samowola w kierunku samoistnego kształtowania się fizjonomji Dnia i nie oglądania się na wczorajsze schematy?

Na pytania te — ośmielamy się postawić odpowiedź krótką: indyferentyzm psycho-realistyczny w twórczości, przy całkowitem skupieniu uwagi na problematy czysto-artystycznej był i pozostał jedynym motywem wszelkiego apostolskiego działania umysłu.

— Sztuka dla Sztuki! — oto koncentracja tych bezprzedmiotowych haseł od progów klasycyzmu aż po nieszczęśliwą epokę Ewersów i Marinetti'ch.

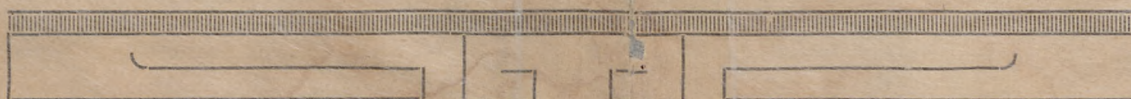
Słaby anarchizm renesansu, hołdujący zresztą całkowicie iudywi-

dualizmowi — i splywająca po nim utopijna logika romantyzmu, były odruchami aż nadto konsekwentnymi w pojęciu o rozwiązalności zagadnień ogólnoludzkich w sztuce ze stanowiska psycho-realistycznego.

Charakter dzisiejszej doby stwierdza, że indyferentyzm ten stać się może już jutro przyczyną zupełnego wyczerpania pierwiastków twórczych, —

zaniku najbardziej racjonalnych dążeń kultury, — że dotychczasowe pojęcie Sztuki, jako abstrakcji życiowej pociąga za sobą w coraz wyższym stopniu zrozumiałą indolencję ze strony „prozaicznego” Dnia, — że w imię najwznioślejszych ideałów Ducha: —

— Życie nie może być czemś odwróconem od Poezji!



* * *

Przybądźcie Achillesy, i wy meże z Troi: śmiały Odysseuszu — wielki podróżniku, i ty Proteskasie, który niemy s piesz, — a zginął przy pierwszym wojennym okrzyku... Chodź młody Meleagrze, dzielący z Polanem swoje losy i płomień, co was obu trawi, zuchwała Atalanto, porzuć polowanie, — na dziki kaledońskie już dosyć obławy.

Śpieszcie wróże i wróżki, wiedźmy, dziwożony, topielice-rusałki i dziewice-Wandy; — Kraku, sędziwy władco z wodą zaślubiony pośpieszaj, — niech cię wieńcem otoczą Marzanny...

... Listopadowej nocy i wieczornej łuny błakające się cienie u sennego mostu; — czarnego klawikordu potargane struny, na których grała Marja z Anną swoją siostrą...

Chodźcie wszyscy — z zadumą, z głębokiem milczeniem Chodźcie zwiewni z wybladłym — na czele — Konradem, wszyscy razem przybądźcie, i stańcie na scenie, — czas wam w nowej dziś roli otrzymać obsadę:

Pomieszajcie się z sobą, — starodawni Grecy niech będą z Bolesławem — przy ramieniu ramię, a przy blasku ofiarnej gromnicy i świecy niechaj Biskup krakowski z gęślarzami stanie.

Teraz jedną wy wszyscy jesteście całością, przywołane z daleka zwiedłej ręki cienie, — śmierć, jak wieniec ciernisty, splata was z wolnością, i jak owce — po niebie gna was przeznaczenie...

JERZY ALABANDA.



— Poezja nie istnieje bez Piękna.

— Piękno bez Życia!

To też dziś — owiani zimną i bezproduktywną atmosferą dziejów — wymocowani w błędach „wielkich” improwizatorów przeszłości — my, bierni świadkowie ich idei i prawd, stanąć musimy społem przy żarnach codziennego Realizmu i mleć Słowa pod rozcżyn nowego, zdrowego a nadewszystko zjadalnego chleba.

Stanąć musimy nad budową epoki, ześrodkowującej w sobie ideał żywej i w rytmie codzienności postępującej apoteozy Ducha i Ciała!

Stworzyć musimy typ — żywy typ zbiorowego Człowieka — i z Nim dopiero iść na narady z odwieczną Tajemnicą Boga!

Oto — obowiązek na dzisiaj!

Młode pokolenie ma głos!

J. P.

Od Redakcji.

„GŁOS LITERACKI” jako organ młodzieży poetyckiej w Polsce — rzuca hasło:

Koordinacja twórczości poetyckiej wśród najmłodszych w kierunku powrotu do zagadnienia społecznego w poezji.

Zdajemy sobie sprawę z konieczności uformowania pod tem hasłem jednolitego frontu nadchodzącego pokolenia twórczego, które w chwili obecnej ulega jeszcze z konieczności, w braku wypracowanego ściśle programu — wpływom, które skończyć muszą swoje panowanie w literaturze.

Powaga w stosunku do poruszanych zagadnień — zwiększenie odpowiedzialności za czyn artystyczny — oto żądania, które wysuwamy na czoło naszego programu.

Jako wyraz widocznej w tym kierunku pracy — Redakcja uznaje za konieczne wystąpienie na łamach swego czasopisma z specjalnym działem: Poezje najmłodszych — w którym uwzględniane będą w miarę swej wartości — twórcze prace młodzieży, nadesłane do Redakcji.

Niezależnie od tegoż działu — „Głos Literacki” występować będzie również z rubryką korespondencyjną dla stawiających pierwsze kroki w literaturze — udzielając im w przyjacielskiej pomocy wskazówki odnośnie za-
pytań i nadesłanych prac.

Sport w literaturze polskiej.

Literatura nie może przejść milcząco obok żadnego zjawiska społecznego, zdolnego wywrzeć wpływ na charakter epoki.

W powieściach, poematach i sztukach dramatycznych odnajdujemy odzwierciedlenie zewnętrznej strony życia w danym miejscu i danym czasie oraz odbicie tych trosk, tych zagadnień, tych znaków zapytania, jakie poruszały umysłowość i istotę materialną danego środowiska.

Sport, zajmujący w życiu narodów współczesnych tyle miejsca, nie mógł oczywiście stanowić wyjątku. W literaturach: angielskiej, francuskiej, niemieckiej, w dziełach autorów skandynawskich czy włoskich, tematy sportowe są często tematem utworów literackich o wysokiej wartości artystycznej. Przytoczenie nazwisk takich, jak Jack London, Henry de Montherlant, Tristan Bernard, Romain Coolus czy Maeterlinck wystarczy za dowód.

W życiu narodu polskiego sport dalece nie zajmuje jeszcze tego miejsca, jakim się chlubić może w Ameryce i krajach europejskiego zachodu. Polski świat sportowy, to jeszcze mikrokosmos; nic więc dziwnego, że powieściopisarz i poeta polski tego nowego czynnika jeszcze nie zauważają, nie zagłębiają się nad nim, przechodzą milcząco obok sportu, który często tak żywo porusza ich kolegów zagranicznych.

Nietylko w tem zresztą wina ubóstwa i bladeści naszego życia sportowego, szczupłego masztu jego uzewnętrznienia. Winię ponoszą poczęści i sami pisarze, zbyt leniwie śledzący za przemianami współczesnego życia, niezawsze kroczący z awangardą, często postępujący za masą, miast ją wyprzedzać i prowadzić.

Tak czy inaczej, utworów literackich, których treść opierałaby się na motywach sportowych, w piśmiennictwie naszym prawie niema. Jeśli chodzi o dzieła o wyższym poziomie, „Laur Olimpijski” — zbiór poezji Kazimierza Wierzyńskiego, stoi narażenie zupełnie samotnie. Może tylko w literaturze internacjonalistycznej odnotować się „Sportyści” (St. Witkiewicz) ale tylko przypadkowo, epizodycznie może nawet pomimo woli autorów.

Tylko pokrewieństwo duchowe łączy również ze sportem wiersze ś. p. Denhoffa-Czarnockiego („Włóczęga”).

Gdy wymienimy powieść Jerzego Bułówna „Prawo pięści” i kilka nowel Wiktora Junoszy — utwory bardzo ściśle związane ze sportem, ale zato pozbawione zbytnich pretensyj literackich — zamknijmy zdaje się szczupły spis utworów beletrystycznych, powstałych pod wpływem atmosfery boiska i biegni.

Jeśli sport w literaturze u nas prawie jeszcze nie istnieje, posiadamy zato już wcale pokątną ilość dzieł technicznych o sporcie. Dla prawie każdej gałęzi jego znajdziemy w polskim języku dobry podręcznik, a niektórym poświęcono całe monografie, wydawnictwa, których nie powstydziliby się przodujące kraje zagraniczne; wymienimy choćby roczniki Polskiego Zw. Narciarskiego. Należy przytem zaznaczyć, iż podręczniki polskie niezawsze się mniej czy więcej udatną kompilacją, opracowaną na podstawie źródeł obcych. Znajdujemy się już w takim okresie rozwoju sportu, że stać nas na pracę samodzielną; posiadamy już specjalistów, którzy nie poprzestają na powtarzaniu wiadomości, zaczerpniętych z książek, wydanych w Paryżu czy Berlinie, a dzieląc się mogą swoją własną wiedzą i swem własnym doświadczeniem. A od tego momentu właściwie rozpoczyna się istnienie naszej, polskiej literatury sportowej.

Pisząc o niej, niesposób nie nadmienić, iż książka D-ra Polakiewicza „Igrzyska VIII Olimpiady” jest bodaj najkapitałniejszym w ogóle dziełem, traktującym o olimpiźmie.

Tak więc, jeśli chodzi nie o sport w literaturze, a o czysto fachowe wydawnictwa, nie stoimy zanadto w tyle za krajami, posia-

dającymi większą i starszą sportową tradycję i kulturę. Taki stan rzeczy spowoduje niezawodnie dość szybki rozwój życia sportowego i podniesienie jego poziomu, a co zatem idzie — zajęcie przez sport większego i poważniejszego miejsca wśród czynników, wpływających na kształtowanie się życia społecznego. Wtedy bądźmy pewni, wiatr ze strony stadjonów sportowych wiejący nieraz wprowadzi w drżenie karty ksiąg, w które swe najpiękniejsze myśli i swe najszczytniejsze dążenia zamkną najwięksi nasi atleci pióra.

W. Junosza - Dąbrowski.

Ludzie bez famy.

(Wspomnienie).

Ś. p. Wacław Denhoff - Czarnocki wszedł do literatury polskiej tak cicho, jak to uczynił niespełna pięć lat temu, niezapomniany twórca „Konia na wzgórzu” i „Pod lazurową strzechą” — ś. p. Eugeniusz Korwin Małaczewski.

Dwie łagodne postacie oderwane od codziennej, wklęsłej masy rozkrzyczanych ewersów i ulicy.



Ś. p. Kpt. WACŁAW DENHOFF - CZARNOCKI
długoletni redaktor „Stadjonu”.

Skromna, ale bogata twórczość Czarnockiego przekazała w spadku rodzimej literaturze przepiękny, eremicką prostotą wyrzeźbiony tom poezji p. t. „Włóczęga”.

Było to już ostatnie wyznanie dla świata.

W niem też uczy się poeta „wszystkiego na nowo” — choć taki zdawał się być „przemądrzały”.

Z prac literackich wydał pozatem: „Wiersze i piosenki” (1916 r.); „Zbiór rozkazów Napoleona” i szereg dzieł przekładowych z literatury rosyjskiej.

Wyrwała Go śmierć nagle i nieodżałowana.

Młodość literatury traci w Nim żywy, bezsprzeczny talent poety i myśliciela.

Bywaj! — Denhoffie - Czarnocki!

WACŁAW DENHOFF CZARNOCKI.

Najbardziej urojone.

Aloha, mała moja żona z palmowego wybrzeża
Dla mnie szkarłatne hibiskusy nad srebrną wodą

[przymierza.]
Najśladzkie przynosi banany, najlepiej wypieczone

[patały]
I długo naradza się z gwiazdą, pod którą roześle

[maty].
Atlasowe są nasze noce i pełne dziecięcej słodyczy,

Zdaje mi się, że ktoś na niebie opalowe paciorki

[liczy].
Czasem tylko zbyt nisko niebo nad nami się zwiesza

i widzę, że mały demonek rubiny do zabawy do-
[mieszał].

Ustępuję czasem leniwie przed starym dociekań

[nałogiem]
I staram się chwycić dziewczynę na rozmowie z jej

[drewnianym bogiem].
Albo stojąc sznurami paciorków maleńkie śniade

[uszy].
Podstępnie prowadzę gawędę, aż do prawdy i do

[duszy].

Cala się w śmiechu chowa i ustami karcie usta,
I mówi, że szczęście największe, to ryba
[w więcierzach tłusta].
Pod tym słońcem nie można słowami mówić
[o dobrym Bogu,
Ale idąc tak za ręce po piasku, doszliśmy do jego
[progu].

Szklener żaglami błysnął — jałżem dawno już

[nie wędrował].
Żegna się ze mną Aloha bez jednego łzawego słowa.

Szerokie na wiatr mam piersi, krzyczę o radości

[początku].
Ale widzę szkarłatne hibiskusy na ostatnim

[szkalnym przylądku].
Wiem, że pilnie układa trójkąty z różowych

[i czarnych muszli].
Żebyśmy ciszę obesłali dookoła i dujawić uszli.

Co dnia potym prosi Aitu o wiatry dla żagli

[łaskawsze,
I nigdy, nigdy nie umiemy, że odjechałem na
[zawsze].

Dookoła Akademii.

(Przegląd prasy).

Wylęgarnia dziwolągów w wszechświecie zależną jest zawsze od czasu — często od okoliczności — ale nigdy od potrzeby.

Historja natury i przyrody dużo wynotowała takich wypadków. Obecnie rejestrujemy nowy... ale już w historii Polski.

Przymus płodzenia kulturalnego zamknięty w nazwie: Akademia Literatury — a w języku codziennym — nowy odwar burżuazji, rozpoczyna swą funkcję zwolna ale istotnie, odzależkowo i z całym szeregiem najrozmaitszych zaburzeń.

Mamy tu więc i komplikacje czysto żołądkowe Wielopolskiej i zupełną niestrawność Wata — mamy bezryzykowność Irzykowskiego i wręcz jedyne antidotum Słonimskiego.

— W zasadzie jednak nie ujawniono wszystkich chorób. Właściwi pacjenci milczą, uważając to za rzecz zgoła osobistą!

Niewiadomo więc, gdzie i co komu jeszcze brakuje, i czy wogóle brakuje — gdzie i kto jeszcze, i jakie proponuje środki — recepty — zastrzyki — nie!

Słowem brak samarytanów.

Na nas prasa, jest w przeważającej części chlebem zdrowej i rozumnej refleksji.

W szczegółach natomiast — niezawsze o tem powiemy. Widmo głodu jest rzeczą straszną, i dlatego zaczynamy od Wielopolskiej: (Wiad. Lit. Nr. 44).

„Niemam ani jednego zamożniejszego prawie literata polskiego, więc... będzie tylko aktem sprawiedliwości dziejowej, jeśli 20 polskich literatów otrzyma od rządu pensje dożywotnie”. (sic!).

— A więc o to chodzi? — Tylko o to?

— Ależ nie!

„Będzie przytem nareszcie kopuła nad barokowymi murami naszej literatury”.

— Ach! tak! — Recytatywy bardzo pochlebne!

— I cóż dalej?

„Ja wyznaję szczerze, że gdyby była jakakolwiek możliwość, abym zasiadła na fotelu akademickim, to w dniu tym rozchorowałabym się z radości — poco blagi...”

— Istotnie! — Ma pani zupełną rację!

— Błagować w tym wieku już nawet nie wypada. (I jak się to komu podoba?).

Życie jednak idzie naprzód. I to wciąż naprzód. Pędzi je jakaś straszna, jakaś nieopisana — wściekłość czy tragedia.

I oto co zdziałać może wówczas... mi-
zologia:

„Rola literatury politycznej w całości kształcie piśmiennictwa tak dalece jest u nas niezrozumiana, że w omawianych obecnie projektach Akademii Literatury, uwzględniona jest wyłącznie t. zw. literatura piękna, jakgdyby napisanie tomiku sonetów stanowiło większy tytuł od „nieśmiertelności”, niż „Kazania sejmowe” Skargi lub „Memoriał” Ostroroga.

Ten stan rzeczy i ten sposób myślenia musi ulec zmianie”. (ABC Nr. 311).

I to najradzykalniejszej!!! jaknaj-
śpieszniej!

— Pikantny ten vox — zresztą bez cienia... apolitycznego i szkodliwej ironji, cytujemy z całą przyjemnością. Gotowi jesteśmy nawet ratować go na marginesie interpretacji — po dzisiejszemu.

— Zapytajmy więc:

— Czyż kwestja „bloków” czyli ugrupowań przekonaniowych w Akademii, nie jest rzeczą ważną, jako, że wymagająca par excellence doświadczenia?

— Czyż wpływ polityczny na „nieśmiertelnych” może nie odgrywać roli imponującej?

— O tak!

— I wprowadź autor, zaczynając artykuł był zdania innego, wierzymy, że... po ukończeniu, mógł zasadę zmienić.

— No! — ale chodźmy dalej.

P. Ejsmond również wypowiada się na łamach ABC. (Nr. 319).

Zacny ten poeta i bajkopisarz zagrywa na dwóch instrumentach. (To zawsze wygodniej).

— Pierwszy — to membrana.

Tęskna — niczem słodkie Sorrento.

„Jeżeli do Akademii wejdą najwybitniejsi i najzamożniejsi pisarze oddani sprawie polskiej kultury literackiej — Akademia zyska powszechną cześć i uznanie”.

— Ale ten drugi! Brrr!

„Lecz jeśli wskrzesi tradycję smorgoniskie — ...wówczas wszyscy się od niej odwrócą”.

— Liczyć na naiwność dusz XX wieku...?

— Panie? — Kochany p. Ejsmond?

— „Nie łudźmy się...” — woła p. Wat w Nr. 43 Wiad. Lit.

„Dziś zamianuje akademików pułkownik, jutro może ich mianować wyborca Witosa. I nie ulega wątpliwości, że akademia będzie tchórzliwa i powolna, bardziej nawet niż sejm”.

Oczywista! oczywiście!

(I cóż — cóż, mój Boże?)

Stać się kiedyś może —

Z biedną Wielopolską???)

Rozpacz jest uczuciem wszechmocnym!

uczuciem wszędowścibskim!

Dobrze można żałować za pieśnią —

jak i... bez powodzenia za synekurą.

Tego nikt nie zaprzeczy.

Ale czy rozpacz znowu musimy przeciągać w nieskończoność życia?

— Poco???

„Z pisarzy francuskich nie należących do akademii mogłaby być utworzyć najwspanialszą i... zjedną akademię francuską”.

mówi p. Słonimski w Wiad. Lit. Nr. 42,

nie wolno nam zapominać, że:

„Jest to niebylejaka pociecha dla tych co do akademii nie wejdą”.

(Brawo! p. Słonimski).

— W ogniu walk o akademię — sub

titulo „Przewrót majowy w literaturze”.

(Wiad. Lit. Nr. 44).

p. Irzykowski charakteryzuje sytuację do-
szcześnie i bez obślonek:

„Powiedzmy sobie otwarcie: zamiar powołania akademii jest karykaturalną minjaturą majowego zamachu”.

„...gdyby istniał silny sejm, zdmuchnąłby akademię, tak jak zdmuchnął ministerstwo sztuki”.

Pretendentami:

„...to pilśdyczcy czy kadeniści. Dla kompletu, aby nie brakło analogji nawet z Nieświeżem, znalazł się wśród kandydatów także hr. Morstin, sympatyk faszystmu”.

Bo Ilakowiczówna — to już sprawa

zupełnie inna.

— Fotel, który ma odsiadywać jest na-
groda:

„za wiersze o Litwie”.

W rzeczywistości autor nie wierzy, by akademia mogła być „mózgiem” — „sercem literatury” — słowem „kuźnią” twórczości.

„Każdy bowiem widzi, że życie organizmu literatury jest inne, i dzisiaj bardziej złożone niż dawniej... Sam fakt utworzenia się takiego zespołu jest szczęśliwy i rzadki, trzeba do tego specjalnych charakterów i specjalnych sprzyjających okoliczności”.

Konkluzja p. Irzykowskiego zamyka się w zdaniu:

„niech sobie taka akademia istnieje, ale na próbę tylko przez jeden rok...
bo już

...po roku — „sędziami wówczas będziemy my”.

Rozumiem!

— Lecz wieleż ten rok będzie miał mie-
sięcy?

Or. Lił.

Aurora Quadrigis iam medium traiecerat axem.

Wszelkie objawy twórczości artystycznej sprowadzić się dadzą do istoty tych procesów psychiczno-społecznych, które zachodzą w danym okresie czasu. Stwierdzenie faktu, że psychika artysty, a zatem i dzieło sztuki jest — jeśli nie całkowicie, to przynajmniej w dużym stopniu — wypadkową wszystkich współdziałań życia zbiorowego, charakterystycznych dla danej chwili dziejowej — oto rzecz nie ulegająca zaprzeczeniu. Takie sformułowanie sprawdza się po raz niewiadomo który przy odniesieniu go do obecnego stanu naszego życia literackiego, przyczem wykazuje się także słuszność zdania, że te wpływy artyzmu, które da się wytłumaczyć jedynie koniecznościami minionego okresu, które nie znaj-



STANISŁAW CIESIELCZUK.

dują oparcia i uzasadnienia w splocie stosunków i potrzebach bieżącej chwili, skazane są nieodparcie na jaknajszyszą zagładę.

Ustalenie się pewnego typu wiersza, całkowita rezygnacja z rozszerzenia i uprawy zdobytych terenów, chrząkające zadowolenie z siebie i swojego bezwładu, trochę — ale w miarę — żalu do najznakomitszej własnej osoby i ocean pretensyj „zasadniczych” do otoczenia, „że nie dorosło” — oto nieubłagane skutki zbyt łatwo zdobytej, ale zato „renomowanej” sławy i patentowanej popularności.

Mówimy o grupie „Skamandra”. Pismo to, spełniwszy swoją rolę i przeznaczenie, a spełniło już ją — przynajmniej w części — przeraźliwie dawno, winno było od razu odejść, ażeby nie pozostawiać po sobie niemiłych wspomnień człowieka, powtarzającego metodycznie co kwartał ten sam dowcip w różnych wersjach i ze zmianą nazwisk. Niestety, prawo inercji zwycięża: „jak się raz już pchnęło...”, elegancyjnie przedstawiciele reprezentatywnego pokolenia odmierzają krokiem urzędowym zawojowaną pozycję, pilnie bacząc, ażeby nie wdarł się na nią ktokolwiek niepowołany w smokingu o nieprzepisowej ilości guzików.

Rezygnując jednak z narzucającego się mimowiednie tonu cierpkości — w imię najważniejszego stosunku do poruszanych zagadnień — trzeba stwierdzić, że o ile indyferentyzm społeczny, Skamandra przy skierowaniu całkowitej uwagi na problematykę czysto-artystyczną (...a wiosną — niechaj wiosnę etc.) był zrozumiały na tle swojego

MIECZYSLAW BIBROWSKI.

SŁOWACKI.

W ciasnych uliczkach ciał się mrok:
Na niebie gwiazdy, a księżyc — w nowiu.
Jeden za drugim, chytkiem, krok w krok,
Sunęli miastem — astrologowie.

Świeciły jasno gwiazd konstelacje —
Skorpion, Raka — Ryby i Panny.
— Zaraza nosi białą koszulę —
Astrologowie — czarne sutanny.

Z mrocznych tajemnic ponurych ciemnie
Wrzask obłąkańczy trysnął — jak krew!...
...W ogromną ciszę zielonej nocy
Błękitne liście padały z drzew...

czasu — faktu odzyskania niepodległości, o tyle teraz, w dobie intensywnej pracy nad kształtowaniem nowej rzeczywistości bytu społeczno-państwowego, w momencie wytężonych wysiłków przełamania bezwładu i wycięcia z żywego ciała psychiki polskiej elementów niewolniczości — usprawnienia jej do samodzielnego trwania — dalsza obojętność na zagadnienie społeczne w sztuce jest nie tylko karygodną lekkomyślnością, ale prosto — sprzeniewierzeniem i brudną malwersacją.

JERZY JODŁOWSKI.

SACCO I VANZETTI.

Ciemno jest pusto i głucho,
I ciągle te same ściany.
Gdzieżecie o, jasne Włochy,
Gdzie życie w słońcu skąpane?...
Cisza brzemienista, dusząca,
Na piersi ciężar się tłoczy.
Niema tu, niema już słońca,
W mrok zatapiają się oczy.
Na dole gdzieś płyną masy.
Gdzieś żyje tłum roześmiany.
Niema przestrzeni i czasu —
Jest tylko Jutro, już znane.
Ach wszystko, wszystko już jedno.
Znikł żal i znikła nienawiść.
To teraz, dzisiaj już pewno,
Dzisiaj już znana się zjawi...
„Wolność braterstwo i równość”
O, jakie głupie to słowa!...
Ach prawda, krzyk jakiś dawno:
Evviva vita nuova!...
O dokąd, dokąd to wreszcie!
Czy niema ludzi na świecie?
Chcecie brać życie to bierzcie,
Choć życia niema tu przecie...



WŁADYSŁAW SEBYŁA.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK.

Cyrk wędrowny.

Prażony słońcem, wiatrami smagan
Przez skwar i mroź
Toczy się biedny, stary bałagan,
Wędrowny wóz.

Oto już w dali miejskie dzwonnice
Śpiżowo lśnią.
Krwawią się, krwawią ich ostre szpice
Słoneczną krwią.

Oto przedmieście, oto stragany
I mostu łuk.
„Hola! Hip-hura! Stać! Zaczynamy
Paradę sztuk!”

Giętki arlekin w kraciastej szacie
Wrący jak rum,
Lśniący jak cekin, jak jad w agacie,
Zwoluje tłum.

Krzyczy: „Panowie i panie! — Nuże!”
Dzwoni jak rym
I sprawia łanie wołowej skórce
Na bębnie swym.

Dlatego z zadowoleniem trzeba powitać ten zrozumiały zresztą fakt, że nadchodzące pokolenie młodych twórców wnosi ze sobą bojową wolę dokonania zdecydowanego zwrotu w kierunku kwestii społecznej — mamy na myśli grupę Kwadrygi, pisma skupiającego dookoła siebie najzdolniejsze elementy z pośród najmłodszych. Przyczyny jego powstania szukać należy w istotnej potrzebie społecznej, której naturą zawsze jest wcześniejsze uwydatnianie się w fakcie, niż uświadamianie w umyśle.

NINA RYDZEWSKA.

MADONNA NĘDZARZY.

Miej w swojej świętej opiece
Prześliczna Matko Boska
Siostrę Twą — Matkę Nędzarzy
I dziecko jej, całe w krostach.
Przyodziej ich w swoją łaskę,
Jak w ciepłe szmaty,
Wyzebraj dla nich pięć groszy
U ludzi bogatych.
Weź w ręce wszystkie ich bóle
I lzy, co niecierpliwie się tłoczą
Ku oczom, spłówałam, jak ranek,
Ku zaropiałym oczom.
I zważ że lzy i bóle
Na sprawiedliwej wadze u Niego, —
Zobaczysz, jak pod ciężarem
Ugnie się Twoje Niebo.
I jeszcze coś Ci powiem
I jeszcze powiem Ci więcej:
Zobaczysz w ich głodnych oczach
Swą twarz, spaloną rumieńcem.
Wstydz się, Prześliczna Panno,
Wyznaj swój grzech przed Bogiem,
Że siostra Twa — Matka Nędzarzy
Umiera z głodu pod progiem.



WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK.

Na białym koniu tańczy Nineta,
A chudziak — Jack
Połyka ognie, żaby, sztylety,
Gwizdże jak ptak.

Później, gdy wieczór wypada z Boga
Łagodnych rąk,
Sny ich zamyka księżyc rogal
W świetlisty krąg.

Czują jak jasny, wieczorny spokój
W serca ich wszech,
Słyszą jak płacze w gwiezdnych obłoku
Anielski flet.

* * *

ALEKSANDER MALISZEWSKI.

Dzień, który przyjdzie.

Idziesz pewnie po drodze wyboistej i twardej
Z moich pragnień układasz godzin wąż
kokardy...

A godziny obliczasz na sekundy mych
przeżyć
Bym, jak zegar, mógł życie obrachować
i zmierzyć...

Szerokie echo, jakie wywołały dwa pierwsze numery, wskazuje na rzeczywistą potrzebę istnienia pisma i świadczy o tem, że reprezentuje ono już teraz — pewną ustalającą się wartość.

Stojąc na stanowisku irracjonalizmu, jako cechy zasadniczej procesów społecznych, młodzi poeci akcentują znacznie woli twórczej i entuzjazmu ludzkiego dla wpływania na ich przebieg i stąd reprezentują, według sformułowania jednego ze swych teoretyków — romantyzm pozytywny naszych czasów. Wyszukują — w ślad za Norwidem — w układzie motorów rozwoju społecznego pracę twórczą na plan pierwszy, podnosząc ją do znaczenia czyn-



ALEKSANDER MALISZEWSKI.

nika kształtującego rzeczywistość, organizującego i poddającego wszystkie siły przyrody władzy swobodnego człowieka.

Kwadryga - Bibrowski, Ciesielczuk, Dobrowolski, Flukowski, Lewinówna, Łotocki, Maliszewski, Rydzewska, Sebyła, Słobodnik, Szenwald, Wenie, Zajączkowski — ma poza sobą dwa wieczory poetyckie, w Warszawie i Łodzi, oraz w swoim dorobku posiada trzy tomiki wierszy.

Utwory Ciesielczuka („Chaty w obłokach”) wskazują, że ich autor, poświęcając bardzo wiele uwagi doskonałości formalnej, uświadamia już sobie niepodobieństwo porzestania na niej — daje szereg wierszy o wyraźnej tendencji, kończy zaś tom poematem — rozrywającym siłą wyrazu ustalone prawa pisania poezji.

Maliszewskiego cechują podobne dążności („Poezje” Cykl: „Oczy, usta, serce”) — z utworów jego wymienić wypada doskonale zbudowany wiersz p. t. „Prowokator”, natomiast w dystychach Sebyły (Cykl: „Modlitwa”) rozpoznajemy świadomego już zadań swoich mistrza: surowa forma zamyka w sobie szereg doniosłych zagadnień ludzkiego życia.

Wreszcie Słobodnik — talent bezsprzecznie najdojrzały z pośród omawianych poetów, — daje swoją „Modlitwę o Słowo” — cykl utworów sławiących radość prostego życia i prostej pracy na wsi.

N. R. Ex. W.

Gdy nadejdiesz, gdy przyjdiesz, wtedy
krzyknę ci: Prowadź!
„Dzisiaj nie chcę już spojrzeć gdzieś na
gwiazdach krzyżować!”

I pójdziemy pod rękę w noc kłamiącą
gwiazdami —
Wszystko zacznie się jutro — wszystko
skończy za nami...

W przededniu zbliżających się
Świąt składa Redakcja życzenia
Wszystkim Czytelnikom
DOSIEGO ROKU!

List do Redakcji.

(Z powodu artykułu p. André w Kurjerze Porannym z dnia 27.XI. b. r., otrzymujemy poniższe pismo. — Red.).

Do
Redaktora
„Głosu Literackiego”
w/m

Nie będąc ani poetą, ani redaktorem lub krytykiem, ani nawet nakładcą, korzystam jednak jako najprzeciętniejszy simplex servus Dei z łaskawie udzielonych mi szpalt „Głosu Literackiego”, aby poruszyć sprawę między literackiej, obchodzącej mnie jak i cały zresztą ogół społeczeństwa, żywiącego jakieś takie pretensje do kultury, w szczególności interesującego się literaturą polską.

Zaznaczam na wstępie, że nie mam bynajmniej zamiaru polemizować z p. André, autorem artykułu w tej samej sprawie, drukowanego w „Kurjerze Porannym” z dnia 27.XI. b. r., ponieważ co do konieczności pomocy materialnej niezaprzeczalnym talentom artystycznym — zgadzam się z nim najzupełniej, więc potrzeba polemiki odpada; po wtóre, ponieważ nie posiadając równie jak p. André bogatego słownika, nie sprostowałbym mu w doborze wersalskich zwrotów, a po trzecie — ponieważ apel jego o pomoc, poparty groźbą „kucia w mordę”, wskazywał aż nadto wyraźnie sfery, które miały nań odpowiedzieć.

P. André piętnując zaprzepaszczenie najwyższej wartości: godności człowieczej narodu, wytykając specyficznie polską obojętność dla sztuki, nie podaje właściwie żadnego sposobu zaradzenia złemu.

Nie przypuszczam bowiem, by pomoc rządu wyobrażał sobie w formie stworzenia z artystów malarzy, rzeźbiarzy, aktorów, literatów i t. d., jakiejś nowej kategorii funkcjonariuszów państwowych, w formie zaszerzegowania ich w grupy i szczeble ustawy uposażeniowej i nałożenia na nich obowiązku referowania w pewnych terminach określonej ilości dzieł sztuki.

Sądzę również, że rząd mając tyle jeszcze niezaspokojonych potrzeb na każdym niemal polu gospodarki państwowej, nie byłby poprostu w stanie popierać sztuki w takim zakresie, by istniejące obecnie zło usunąć, zresztą dąży się dziś ogólnie do usunięcia etatyzmu wszędzie, co dopiero tam, gdzie jakiegokolwiek pętanie swobody twórczej mogłoby przynieść niepowetowaną szkodę.

Stworzenie akademii literatury będzie w najlepszym razie jedynie plasterkiem na ropiącą ranę. Członkami akademii staną się wybrańcy losu, bodaj czy nie w wielkiej części politycy, których zdolności literackie równać się będą zeru, a to: „iście polskie wszystko na opak” ten „bólów ból” stać się może usankcjonowaną zasadą. Zdaje mi się zatem, że z pomocą pośpieszyć winno całe kulturalne społeczeństwo, ale inicjatywa powinna wyjść z kół literackich i artystycznych.

Za przykład biorę s. p. Przybyszewskiego. Śmiem zaryzykować twierdzenie, że tylko bardzo niewielu wiedziało, iż znajdował się w tak ciężkim położeniu materialnym, że zmuszony był tłuc się po prowincjach z odczytami, aby móc się na zimę oporządzić.

Znacznie już więcej osób wiedziało, że pracował jako urzędnik. Pojęcie urzędnika jest jednak tak elastycznym, że mieści w sobie zarówno zapracowanego głodomora dwunastej kategorii, jak i pobierającego bajątkowe sumy dyrektora monopolu.

Kto był powołany do władania w prywatne stosunki genialnego pisarza? Skąd słuchacze odczytów mieli wiedzieć, że dochód z odczytu ma służyć na oporządzenie się na zimę?

Mimo wszelkie zarzuty, stawiane społeczeństwu polskiemu, jest ono jednak ofiar-

ne. Może nie ci, którzy mając nadmiar pieniędzy, szukają dla nich i dla zbyt wybuchających temperamentów ujęcia w wykwinnych kabaretach i zagranicznych „badach”, ale ci maluczcy, którzy na każdy apel odmawiają sobie biletu do kina, a nieraz i całych butów, by na wskazany im cel złożyć swój grosz wdowi.

Dlaczego nikt się nie zwróci do nich z apelem o pomoc?

Nie myślę o składkach indywidualnych, składanych na tego lub owego literata czy artystę. Raniłoby to jego godność osobistą — ale stałe opodatkowanie się na popieranie literatury i sztuki, mogłoby dać pokaźną sumę do dyspozycji komitetu wybranego z grona literatów i artystów, który rozdzielalby nagrody, zasiłki i stypendja zasłużonym, potrzebującym i początkującym. Nie jeden talent zdobyłby wtedy warunki rozwoju, nie jeden zawód zostałby złagodzony i zarzut obojętności byłby mniej ciężki.

Wiem z notatek dziennikarskich, że istnieje jakiś P. E. N. Klub. Działalność jego zdaje się jednak polegać tylko na tem, że od czasu do czasu przyjmie na dworcu, i zje obiad z jakimś zagranicznym literatem. Może on zechciałby zająć się podanym wyżej projektem?

Jestem przekonany, że apel do społeczeństwa nie pozostanie bez echa — dodaje jednak, że szermowanie argumentami jak: „kucie w mordę” i „rżnięcie piłą” jest dość obosiecznym, i w czasach rozwijającego się sportu i ciężkiej fizycznej, trochę niebezpiecznym — bo... każdy kij ma dwa końce.

Z poważaniem

S. Andek.

Z wystawy w Hamburgu.

(Refleksje Dr. R. Corwegh'a).

Na jesiennej wystawie obrazów, reprezentowanej przez wszystkie niemal państwa europejskie, znalazło się — niestety — i malarstwo... polskie. (?)

Przedstawicielem jego był tym razem — p. Moise Kisling.

Oto co znajdujemy na temat tej wystawy w jednym z numerów III. Zeitung: „Polen bedeutet für die Kunst eine Filiale von Paris oder einen Übergang zu Russland. Nichts Eigentümliches spricht aus dem „Mädchen“ von Moise Kisling...” i t. d.

Pewność, z jaką przemawia dyletantyzm p. Corwegh'a — wzbudza w nas dziwny szacunek.

Taniec kubistyczny, jaki urządził sobie na „Dziewczynie” (?) po czterdziestce (!) też znamionuje powagę gustu.

Ale, że wydano paszport „dziewczynie” bez przynależności państwowej — to już skandal!

Przecież do stu supematów! istnieje gdzieś chyba Państwo Rozgromionych Pędzłodrabów!?

Dla kogoż tam urządzają — przystawy jarmarczne!?

Przegląd bibliograficzny.

TECHNIKA.

Inż. I. Sidorak i D. Bojko. „SAMOCHÓD W PYTANIACH I ODPOWIEDZIACH”. Wyd. II z 33 rysunkami. Skład gł. Główna Księg. Wojsk., Warszawa 1927.

Podręcznik kieszonkowy, niezbędny dla każdego amatora jazdy automobilowej — z tabelą cylindrów silnika 4-0 cylindrowego.

* * *

Nowe książki.

Wacław Lipiński. „WSRÓD LWOWSKICH ORŁAT”. Pamiętniki. Nakł. Wojsk. Instyt. Nauk.-Wyd. Warszawa 1927. Okładkę zdołał K. Mackiewicz.

Sympatyczny autor dziennika żołnierskiego „Szlakiem I Brygady”, mjr. dr. Wacław Lipiński, pomnożył ostatnio bibliografię wojenną nowym pa-

mietnikiem, obejmującym fragmenty z dziejów obrony Lwowa.

Książeczka „Wśród lwowskich orłat”, wydana przez Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy, powiększa, że się tak wyrazimy, ilość „punktów obserwacyjnych”, pozwalających objąć bezstronnie całokształt tych bohaterskich zmagani o Lwów, nie tylko „z punktu widzenia ulicy Bema”.

Wspomnienia wojenne autora mają wybitną wartość bezpośredniości, są pisane na gorąco — dają żywe świadectwo naocznego świadka. Barwność i plastyczność stylu notatek, psują jednak — późniejsze prawdopodobnie — ulepszenia literackie, w których autor mocno „kadenizuje”.

Nowotwory językowe i sztuczna miejscami kwiecistość stylu niezbyt odpowiadają żołnierskiemu eposowi. Zyczymy zatem na przyszłość p. Lipińskiemu, aby „liście bez kropli krwi” mniej „zgrzytliwie chrzęściły” mu pod stopami, aby się przekonał, że plug nigdy nie jest „zgrzytliwy”, ani głos Monda, choć gruby, nie jest „naśmieszliwy”.

Niechże mjr. Lipiński — przy takich ustępach wspomnień — zapyta się szczerze kaprała Sochy, czy naprawdę słyszał kiedy, aby pocisk „szaleśnie szumiał”, potem „dźwiękliwie, metalicznie jęczał”, aby wreszcie wpaść „w raptowny, gwałtowny wizm”.

Kapral Socha wyrazi to napewno jędrniej, plastyczniej — a nadewszystko prościej.

Dobre i bardzo pożyteczne są pamiętniki Wacława Lipińskiego, ale niechże w nich unika zbyt kwieciste analizujących opisów, nadto „milkliwych cieni” i t. p. „wizgów”!...

*

Jerzy Kulczycki. „DZIENNIK DOWÓDCY KOMPANII Z WALK W MAŁOPOLSCE WSCHODNIEJ I NAD DZWIŃĄ w 1919 r.”. Nakł. Wojsk. Instyt. Nauk. — Wyd. Warszawa 1927.

Książka pisana pod wrażeniem przeżyć wojennych — odtwarzająca w sposób mistrzowski duszę żołnierza na froncie.

Wydanie estetyczne — z portretem autora i ilustracjami.

bs.

*

Marceli Handelsman. NAJNOWSZE PRĄDY UMYŚLOWE ZACHODNIEJ EUROPY. FRANCJA. — Wyd. Kola Historyków S. U. W. Warszawa 1928, str. 24.

Europa dzisiejsza przeżywa głębokie przejścia. Niektórzy z głębokich myślicieli dopatrują się nawet upadku cywilizacji europejskiej. Tymczasem badanie cywilizacji obecnej wykazuje mnóstwo żywotnych, często sprzecznych i rozbieżnych prądów.

Broszura prof. Handelsmana daje odpowiedź na pytanie: co się dzieje w dzisiejszej Francji. Prawda, przeżywa ona kryzys, prawda — istnieje dziwna różnorodność prądów i dążeń, lecz mimo wszystko Paryż, ta stolica, to serce każdego człowieka kulturalnego, nie przestaje być.

Trafne uchwycenie zagadnień, połączone z wyjątkowym darem syntetyzowania i przystępnością formy, powinny zwrócić uwagę kulturalnego ogółu.

S. r.

*

J. Bunin. „MARJA SOSNOWSKA”. Przekład J. M. Warszawa 1927.

Całość składająca się z trzech nowel: „Marja Sosnowska” — J. Bunina, „Wesoła miłość w Seville” — J. Jensena i „Mechaniczny wymiar sprawiedliwości” — K. Kuprina, tłumacz oddał poprawnie językowi ojczystemu, zasilając przekładem znawstwo rosyjskiej psychy.

Książka ogromnie zajmująca i żywa.

jad.

Z ekranu.

Polski przemysł filmowy po nieudanych próbach artystycznych, zakrojonych na małą skalę, zerwał ze scenariuszami okliwio-sentymentalnymi wątpliwej wartości artystycznej i sięgnął do skarbnicy literatury z areopagu naszych wielkich pisarzy.

Po filmach „Zew morza” Kiedrzyńskiego i „Ziemi obiecanej” Reymonta — wystawiono ostatnio w trzech kinach stolicy film „Mogila Nieznanego Żołnierza” Struga.

„Mogila Nieznanego Żołnierza” to wielka martyrologia polskiego żołnierza - tułacza, tego bezimiennego bohatera, któremu Ojczyzna nasza zawdzięcza swoją wolność w ostatnim etapie stuletniej walki o niepodległość. Film ten, z dotychczasowych polskich filmów bezwarunkowo najlepszy. Zasługą to w pierwszym rzędzie wielkiego pisarza, którego myśl przewodnią przemawia z każdej postaci i z każdej sceny filmu.

Realizatorzy wielkiej idei Struga stanęli na wysokości zadania, stwarzając faktycznie arcydzieło tak pod względem gry samej, jakoteż i inscenizacji. Wprawdzie bezstronnej ocenie filmu stoi w pewnej mierze na przeszkodzie czysto polski pierwiastek i nuta patriotyczna — niemniej jednak stwierdzić należy, że dobór artystów był nadzwyczaj staranny, a reżyserja, zwłaszcza scen batalistycznych, — doskonała.

Casiński.

Teatr.

Adolf Nowaczyński. „WOJNA WOJNIE”. Warchoł i Miroluba. Komedja Arystofanesoska.

Nie pierwszy to raz największy z greckich komedjopisarzy dostarcza autorowi nowoczesnemu sposobności do skonfrontowania dwu światów, dwu cykliw cywilizacyjnych, tak odległych w czasie, a tak przecież jednorodnych. Przed dwudziestu pięciu laty Maurycy Donnay przeróbką „Lysistraty” Arystofanesa rozpoczął karierę pisarską, której zawdzięcza fotel akademicki. Mimo świetnej obsady (Guitry i pani Rejane) powodzenie sztuki było mierne: jeżeli ją wznowiono cztery lata później, przypisać to należy nie tyle zainteresowaniu dla sztuki, ile dla osoby autora, wysuwającego się coraz wyraźniej na jedno z czołowych miejsc w teatrze francuskim.

Czy będzie szczęśliwszy od francuskiego kolegi, Nowaczyński, który w ćwierć wieku później podjął się tego samego zadania? Nie jest początkującym pisarzem, jakim był swego czasu Donnay, ma więc przewagę dojrzałego talentu, nie szuka w Arystofanesie tematu do komedji obyczajowej, stylizowanej, jak to czyni jego niefortunny poprzednik, nie przyjmuje pierwowzoru z dobrodziejstwem inwentarza i nie stara się wtłoczyć bujnego temperamentu greka w ramy teatru XIX wieku. Nowaczyński ma w stosunku do Arystofanesa łatwiejsze zadanie. Ta sama żywiołowa pasja, ten sam ogień wewnętrzny, niewstrzymany żądniemi względami, ten sam wichrowaty temperament, ta sama wyobraźnia, przeinaczająca rzeczywistość na pokrewny sposób, pełna inwencji najdziwniejszych, często groteskowych, taki sam język, rojący się od onomatopeji, kalamburów, dwuznaczników, ta sama skłonność do poruszania się na granicy nieprawdopodobieństwa i doszukiwania luźnych, ledwo dostrzegalnych podobieństw, to samo wężenie związku przyczynowego tam, gdzie jego stwierdzenie raczej zaskoczy może, aniżeli ubawić — to wszystko i wiele innych cech wspólnych łączy Nowaczyńskiego z Arystofanesem i składa się na istotne pokrewieństwo duchowe obydwu pisarzy i niezaprzeczoną ich kongenialność. To wszystko sprawiło także, że Nowaczyński mógł dać komedję arystofanesoską, bardzo wiernie naśladowaną w układzie, następstwie myśli i sytuacji, a mimo to wszystko pozostać sobą i dać dzieło w pewnych granicach oryginalne.

Pod groteskową formą kryje się u polaka, tak samo jak u greka, poważna treść, a pod pozornie wyuzdaną, szaloną wesołością mieści się myśl i troska stateczna o dobro publiczne. Sens komedji, która połączyła w zręczny sposób temat „Rycerzy” i „Lysistraty” (o ile Nowaczyńskiego dobrze wyrozumiałem) jest mniej więcej taki: w ustroju demokratycznym zawiadnięcie tłumem i pozyskanie władzy, choćby despotycznej, nie psuje jeszcze jednostki na wielkość dziejową i wartości osobistej i publicznej w niczem nie przesądza. Tłum jest łatwowierny i kapryśny, idzie czasem za Peryklemsem, ale częściej za Kleonem lub Salamisem. Przy pierwszej sposobności władzy takiej grozi niebezpieczeństwo, choćby się ono wydawało tak mało poważne i prawdopodobne, jak bunt kobiet ateńskich pod Lysistratą. Tak było zawsze, „a im więcej się to zmienia, tem więcej jest wciąż to samo”.

W komedji Nowaczyńskiego razi społeczne-go widza sam charakter widowiska, które według pojęć naszych dni więcej przypomina rewję polityczną, aniżeli komedję. Można mieć również żal do autora za zbytne zamilowanie do poruszania tematów drażliwych i przekroczenie miary w operowaniu wyobrażeniami i wyrażeniami niedwuznacznymi. Atoli obydwie zarzuty nie wydają mi się istotne dla oceny sztuki. Jeżeli bowiem chodziło naprawdę o nadanie komedji arystofanesoskich cech, charakter jej był tem samem przesądzony: na pięć zachowanych sztuk Arystofanesa, które mają punkty styeczne z polityką, ani jedna nie zasługuje na miano komedji w dzisiejszym tego słowa znaczeniu. Niektóre zaś z nich, zwłaszcza Lysistrata, są ponadto przesycone tak niewybrednymi określeniami, że w świetle kryteriów moralności nowoczesnej obniżają sztukę do poziomu jarmarcznego widowiska. Naśladować Arystofanesa bez obrażania nowoczesnych pojęć o moralności, jest mniej więcej to samo, co układać modlitewnik z wyjątków Brantome'a lub Aretina.

W tem, co Nowaczyński wniósł do sztuki własnego, wysuwa się na pierwszy plan jego język: jedyny, zwarty, lapidarny, giętki i czysty. Wszystkie te zalety nie mogą jednak odebrać sztuce jej grzechu pierworodnego: niedostatecznej oryginalności. Choć bowiem potonność często się chwiała w opinii o greckim pisarzu (La Harpe i Rollin nazywali go nędznym improwizatorem jarmarcznych sztuczyleł) — oryginalność jego sztuki utorowała mu w końcu drogę do sprawiedliwej oceny.

Z ostatniej komedji Arystofanesa - Nowaczyńskiego czas pozostawi niewiele: odbijane promienie księżycza nie zastąpią słonecznego światła.

D. W.